Należytość pocztowa opłacona gotówką.

Murzynek



Nakładem

Sodalicji św. Piotra Klawera

dla misyj afrykańskich

Rok XVII. Styczeń 1929. Nr. 1.

„Murzynek“ katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, czeskim, słoweńskim i węgierskim.

Prenumerata roczna 1·50 Złp., 1 M., 35 am. cts.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. — **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul. Zamkowa 19. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje). — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Śniadeckiego 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Bielsko:** Piłsudskiego 7. — **Łódź:** p. Ignacy Dubas, ul. Przędzalniana 55. — **Lwów:** p. Fedaszówna, ul. Sadownicka 89, albo p. Berezowski Józef, ul. Kurkowa 65. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — Adres Domu głównego: **Rzym,** Roma (23), via dell' Olmata, 16. **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 3624 West Pine Blvd. **St. Louis, Mo.**

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188. — Kraków 142.248. — Poznań 200.015.

Jeśli kto z naszych młodych Czytelników zalega dotąd z opłatą prenumeraty za rok 1928, niech poczyta sobie za obowiązek uiszczenia takowej w najkrótszym czasie.



Żłóbek w Kilemie.

Podała Siostra Engelberta, ze Zgromadzenia SS. Przenajdroższej Krwi, misjonarka w Kilimandżaro.

Z łaski pewnego szlachetnego dobroczyńcy mamy żłóbek ze ślicznem Dzieciątkiem. Ponieważ nie mieliśmy ani stajenki ani wołu ani osła zabraliśmy się do zmajstrowania ich z gliny, używanej na cegły. Z pomocą Bożą wcale dobrze nam się udało. Żłóbek, który zrobił nam się bardzo wielki, ustroiliśmy mchem, kwiatami, palmami, płonącemi świeczkami, tak że wszyscy czarni chrześcijanie, młodzi i starzy byli nim zachwyceni. Wciąż nowe gromadki przychodziły poprzed świętą stajenkę, składając chętnie drobne ofiary na obok postawioną tacę.

Dzieci zwłaszcza przybiegały licznie do małego Jezusa pomodlić się i przynosiły Mu wiązanki kwiatów... Ile razy zajrzałam do kościoła, zawsze zastawałam żłóbek otoczony murzynkami. W niedzielę ruch był koło żłóbka nieustanny. Bez przerwy jedni wchodzili, drudzy wychodzili...

Pewnego dnia Siostra zakrystjanka spostrzegła dziewczynkę, najwyżej sześcioletnią, która klęczała bardzo smutna przed Boskiem Dzie-

20. XII. 1928. — 22.760.

ciątkiem. „Takbym była chciała przynieść cośkolwiek Jezuskowi, ale nikt mi nie dał ani grosika...“ skarżyła się maleńka. Już miała wstać z klęczek, gdy zauważyła bransoletkę z wisiorkiem, który stanowiła piękna nowa moneta. Natychmiast schwyciła pieniądz, aby go oderwać, ale nie poradziła. Skinęła więc na starszą nieco dziewczynkę, aby jej przyszła pomóc. Po chwili pieniądz był odczepiony. „Zatrzymaj go dla siebie, radziła jej towarzyszka, jesteś mała i biedna. Pan Jezus chętnie na to przystanie. Gdy podrośniesz, to potem przyniesiesz Mu jałmużnę od siebie...“ Ale milutka i wspaniałomyślna murzyneczka nie usłuchała tej samolubnej rady, ona przecież Panu Jezusowi postanowiła złożyć podarek. Ledwie też pieniądz dostała do ręki, położyła go z radością na koszulkę Boskiej Dzieciny..

Innym razem Ojciec Misjonarz zastał przed żłóbkiem kilkoro dzieci. Modliły się pobożnie i dosyć długo, potem uradowane złożyły swoją ofiarę na tacę i poszły. Został tylko jeden maleńki chłopczyk. Myśląc, że niema żadnego świadka, wspiął się na paluszki i starał się wsunąć swój pieniążek w rączkę Dzieciątka. Z jaką uciechą patrzał, że jego błyszczący podarek tkwi mocno, że więc widocznie został przyjęty... Nazajutrz przyszedł zobaczyć, czy może Najświętsza Panna nie schowała pieniądza ofiarowanego Dzieciątku, tak jak to jego mamusia robi, gdy on coś dostanie.

Drogie dzieci białe, gdy wy dajecie wasze drobne ofiary dla czarnych braciszków i siostrzyczek, to naprawdę tak jakbyście je wkładały małemu Jezusowi w rączkę. Wszakże On sam powiedział: Pókiście uczynili jednemu

z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili... O cieszcie Go tą radością w te dni święte! Nie dajcie się we wspaniałomyślności przewyższyć małym dzikusom...

Z naszego małego światka.

Większość młodych czytelników wie, że misjonarze i chrześcijanie w Afryce nazywają często Sodalicję św. Piotra Klawera a w szczególności jej generalną Kierowniczkę, swoją „dobrą mamą".

Jako nowy na to dowód posłuży następujący list dzieci z Kilimandżaro (Afr. wschodnia):

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kibosho — 5 października.

Droga nasza i dostojna Mamo!

Powiedziano nam, Twoim dzieciom w Afryce, że to Ty przysyłasz nam te wszystkie piękne rzeczy: kołdry, koszule, różańce, obrazki i tyle, tyle innych przedmiotów. Nie możemy Ci za to dostatecznie podziękować, ale powiemy Panu Bogu, aby On Ci to wynagrodził stokrotnie.

Tak będzie najlepiej, — ale jednak dziś choć troszkę Ci też same dziękujemy, mimo że nie bardzo wiemy, w jakichby to słowach zrobić.

Nasamprzód, droga i dostojna Mamo, przyjmij najlepsze pozdrowienia od Twoich dzieci z Afryki. Bardzo jesteśmy rade, że Pan Bóg nam dał Ciebie, która jesteś taką nadzwyczajną i taką dobrą mamą. Prosimy Go codzień o to, aby Ci za to dał wszystko, co najlepsze dla duszy i dla ciała. Oby Ci użyczył silnego zdrowia, abyś mogła tu na ziemi żyć jeszcze długie lata.

Nas dzieci jest tu 25. Szczęśliwe się czujemy, że jesteśmy w Misji, ale długo musiałyśmy walczyć z naszymi pogańskimi rodzicami, aby móc tu się dostać. Niejedno z nas było bite i poniewierane przez ojca poganina i matkę pogankę, zamykano nas pospołu z bydłem, nie dając nic do jedzenia, niektórych zmuszano do ciężkich robót i t. p.

Mimo to ufałyśmy mocno Bogu i powiedziałyśmy sobie, że żaden człowiek na świecie nie zdoła przełamać potęgi Bożej. Więc z pomocą Bożą uciekłyśmy z domu i przyszłyśmy tu do Misji, aby móc lepiej służyć Stwórcy.

Te dzieci, które przyszły do Misji na ostatku, są jeszcze bardzo małe. Jest ich 6. Dwoje z nich, Józio i Antoś, mają po 6 miesięcy. Matka im umarła, ledwie się urodzili.

Na Antosia mówimy też „chui", to znaczy „mały lampart", bo krzyczy często „mordio". Ale naogół jest to ładny malec i dużo się śmieje.

Józio to dzieciak spokojny. Kontent, byle mu dać jeść i byleby mógł spać dowoli.

Trzecie dziecko zowie się Maur. Jest to bardzo biedny chłopczyk, który nabawił się niedobrej choroby. W bardzo nędznym stanie przyniesiono go do Misji. Teraz jest mu już odrobinę lepiej.

Anastazja — czwarta z tych małych — jest gruba, tłusta i wesoła jak ryba we wodzie. Ma 10 miesięcy. Jej matka także już nie żyje!

Ostatni dwaj malcy, Janek i Marja Teresa, mówią o sobie, że oni to dwaj wielcy przyjaciele. Mają trzy lata! Janek lubi jeździć na psie jak na koniu. Umie mówić.

Resztę dzieci to wszystko starsze. Dużo dostało się do Misji krótko po urodzeniu.

Droga Mamo! bardzo się cieszymy, że jesteśmy w Misji przy dobrych białych Siostrach i tak blisko Pana Boga.

Módl się, abyśmy wyrosły na dobre dzieci. Pozdrawiamy Cię serdecznie i obiecując, że się będziemy modlić za Ciebie, zostajemy

Twemi wdzięcznemi dziećmi z Afryki.

Inspekcja szkoły misyjnej.

Przez misjonarza z Afryki wschodniej.

Stacja, w której misjonarz ma swą stałą siedzibę, staje się wnet jakoby główną kwaterą. Wpływ kapłana, zlokalizowany początkowo w promieniu kilku kilometrów, rozszerza się stopniowo na coraz dalsze wioski dzięki działalności szkół pod kierownictwem nauczycieli-katechistów. Liczba tych szkół zależy od środków, jakiemi rozporządza misjonarz, a których mu dostarcza miłosierdzie dobrodziejów misyjnych. Po otwarciu takich szkół przypada na misjonarza zadanie odwiedzania ich co pewien czas, przenoszenia tam na kilka dni głównej kwatery.

Przybywającego — nieraz późnym wieczorem — do wioski posiadającej szkołę kapłana czeka zazwyczaj uroczyste powitanie przez cały korowód murzynów z nauczycielem na czele. Nazajutrz odbywa się pełne powagi złożenie hołdu przez naczelnika wioski, który w towarzystwie znaczniejszych wojowników zapewnia misjonarza o swej przychylności i uczestniczy w nabożeństwie.

Po skończonych ceremonjach, podczas gdy

piję mleko świeżo wydojone (krajowcy wolą mleko kwaśne i zsiadłe w wypalanych naczyniach okopconych...) czarne uczniaki, zgromadzone w chacie, która służy za szkołę, oczekują, drżąc z zimna, mojego przybycia; tak licho odziani biedni malcy, że zaledwie mogą się ogrzać w słońcu. Nie daję im długo czekać na



Dwaj czarni uczniowie.

siebie. Usiadłszy na wzniesieniu z ubitej ziemi, która zastępuje katechiście katedrę, przystępuję do dzieła. Jest to dla murzynków uroczysta chwila zdania egzaminu z elementarnej wiedzy, jaką posiedli, a dla niektórych poważnym krokiem naprzód do ich „marzenia“, jeżeli osądzę, że są dostatecznie pouczeni, by ich zabrać do Misji celem bliższego przygotowania do Sakramentu Chrztu św. Podnosząc się z miej-

sca, zbliżają się do mnie jeden po drugim (trzęsąc się tym razem ze strachu), aby się poddać przesłuchaniu. Pytania nie są trudne... dla tych berbeciów w czarnej skórze, jednakowoż każde z nich wywołuje pewien lęk w małych serduszkach. Dają odpowiedzi trwożliwie, z główką wtuloną w ramiona, jąkając się i poprawiając często... Przy wielkiej cierpliwości i łagodności, modląc się w duszy do Najświętszej Marji Panny o pomoc dla nich i dla siebie, otrzymuję zwykle w ten sposób zadawalniające odpowiedzi. Ale nie zapominam też o ostrożnej surowości, gdyż misjonarz musi się dwa razy namyślić, nim przyjmie katechumena. Dzieci patrzą na mnie błagalnie, z siłą, której się oprzeć nie można. To też radość jest wielka, gdy mogę oznajmić tym półnagim i prawie dzikim jeszcze czarnym człowieczkom, że bramy Misji stoją dla nich otworem. Praca moja jest jak na teraz skończona, mogę urzeczywistnić pragnienie kapłańskiego serca i wrócić do domu, otoczony sporą gromadką przyszłych małych chrześcijan.

Król puszczy.

(W. O. Rudolf F. S. C. Kleveland.)

Lew to bardzo straszne imię. Na dźwięk jego ścina się ludziom w Europie krew w żyłach, ale tutaj w Afryce odwiedziny tego pana z dużą głową, choć oczywiście niezbyt upragnione, są na porządku dziennym. Nasi Giurowie lękają się lwa ogromnie. W ciemne, bardzo ciemne

wieczory, kiedy piękny jasny księżyc nie ukazuje się na niebie, zamykają się wszyscy szczelnie po chatach i niema obawy, by który z nich wyszedł samopas.

Las nasz pełen jest lwów. Mieszka w nim jednak jeden, który sobie jakby obrał za swe wyłączne zadanie bezustanne krążenie naokół Misji. Temu kilka dni zaledwie porwał nam



Lew na czatach.

trzy kozy: jedną rano, drugą w południe, a trzecią zjadł sobie na kolację. Żeby jedyną szkodą było tylko kóz kilka, nie wartoby się tem zajmować zbytnio; ale chodzi tu także o chłopców ze szkoły, którzy nastraszeni temi częstemi odwiedzinami króla puszczy, radziby zemknąć do domów, w których — jak twierdzą — są bardziej bezpieczni. Jak się rzecz ma w istocie, nie umiem rozsądzić, dość, że obstają przy tem. Opowiem dwa lub trzy zdarzenia, aby młodzi czytelnicy łatwiej wystawić sobie mogli życie w puszczy leśnej.

Jest noc sobotnia, deszcz pada ulewny. Przed chwilą wróciliśmy z kościoła i spożywamy kolację, kiedy hałas niebywały, przerażone głosy, płacz, krzyk każą nam zerwać się z miejsc.

— Co się stało?

— Ngu. — Lew.

— Gdzie?

— Tu, bliziutko.

W istocie, kilku chrześcijan, którzy właśnie przybyli do Misji, spostrzegło po drodze strasznego zwierza i zawołało na alarm. Nasz Braciszek zakonny, odznaczający się nadzwyczaj zimną krwią, zrywa się pierwszy, ładuje strzelbę i wybiega na podwórze misyjne. Ale dokąd biec? Gdzie strzelać? Nie widać nic, a deszcz głuszy cichy pomruk oddechu groźnego nieproszonego gościa. Można z łatwością wpaść mu prosto w paszczę. Mniejsi chłopcy płaczą rozpaczliwie. Wśród ogólnego zamętu przyszli nam na pomoc młodzi chrześcijanie, którzy dla nastraszenia bestji rozpoczęli wyć i krzyczeć w niebogłosy. Wobec takiej muzyki, lew począł się oddalać, usłyszeliśmy ryk jeden, potem drugi, potem trzeci, już bardzo daleki. Chłopcy przestali prowadzić swój osobliwy afrykański koncert.

— Bogu dzięki — zawołaliśmy jednogłośnie.

Nie minął jeszcze i kwadrans, gdy rozległ się nowy alarm — teraz od strony niewiast. Kilkanaście kobiet i dziewcząt chrześcijańskich z okolicy przybyło w dniu tym, by móc wysłuchać nazajutrz w niedzielę Mszy św. Nie chciały pójść przenocować do chat pobliskich z powodu ulewy, a zresztą bały się spać osobno po chatach. Trzeba je było wszystkie razem umieścić w szkolnym budynku.

Na krzyk niewiast zbiegła się z jeszcze większym pośpiechem młodzież męska. Jest bowiem zwyczajem u Giurów, a raczej lepiej powiedzieć, obowiązkiem każdego, który pragnie uchodzić za prawdziwego Giura, być gotowym na każde jakiekolwiekbądź niebezpieczeństwo w obronie płci słabej. Braciszek ze swą dubeltówką i ja wybiegamy na podwórze. Ale „risum teneatis amici" — „strachy na lachy", tym razem nie był to lew żaden. Kilka dziewcząt posłyszało szmer u drzwi szkolnych, a będąc świeżo pod wrażeniem wizyty króla puszczy, zaraz przypuściły, że to nikt inny tylko znów on — zawrócił raz jeszcze i pragnie drzwi wysadzić. Z pewnością był to jaki pies lub może jaki kot dziki, szukający schronienia przed deszczem. Trzeba było jednak wiele czasu i trudu, by je zapewnić i uspokoić.

(Dokończenie nastąpi.)

Ksiądz Mikołaj Olivieri,

dobroczyńca dziatwy murzyńskiej

(Krótki życiorys.)

Dobrze jest znać jak największą liczbę zacnych ludzi, służących wiernie Bogu i bliźnim. Przykład ich pracowitego życia zagrzewa bowiem silnie do czynów wielkich i świętych, dla jakich warto się poświęcać, umacnia i podtrzymuje w podjętej pracy, zawstydzając nieraz zbawiennie tych, którzy trwonią kosztowny czas ziemskiej pielgrzymki na „pracowitem" próż-

nowaniu". Zapoznajmy się więc dziś, młodzi Przyjaciele Afryki, z postacią świątobliwego kapłana genewskiego, Mikołaja Olivieri, kapłana o „szerokiej wiedzy, szczególnie teologicznej, męża cnoty i prostoty nadzwyczajnej, a tak pięknej duszy, że bardzo rzadko spotkać podobną".

Dlaczego znać go winniśmy? Dlatego, że on kochał gorąco Afrykę, kochał czarne dziatki afrykańskie i życie całe strawił na niesieniu ulgi ich ciężkiej twardej doli.

Dziecięce lata.

Mikołaj Jan Chrzciciel Olivieri urodził się 21 lutego 1792 roku w Voltaggio w półn. Włoszech. Ojciec jego był z zawodu szewcem i posiadał do spółki z bratem mały sklep, który dawał mu możność utrzymania rodziny: żony, czterech synów i trzech córek. Warunki, w jakich wzrastał mały Mikołaj, drugi z rzędu w gromadce, były skromne, ale dalekie od ubóstwa, a nieskazitelność życia, cnoty chrześcijańskie i ogólne poszanowanie, jakiego zażywali rodzice, wynagradzały aż nadto brak bogactw przemijających. Pierwsze nauki czytania i pisania, jakoteż początki języka łacińskiego pobierał Mikołaj u prywatnego nauczyciela, ks. Józefa Ferrari, przechodząc później do szkoły publicznej, powierzonej OO. Misjonarzom z Fassolo. Mikołaj nie należał do uczniów najzdolniejszych, starał się jednak uzupełnić to, na czem mu zbywało, wielką wytrwałością i pilnością oraz wrodzonym zdrowym rozsądkiem. Z biegiem lat wzrastał i tężał umysł, szkoliła się pojętność chłopca. W piętnastym roku życia budzi się w nim zamiar poświęcenia się wy-

łącznie muzyce, obiera sobie skrzypce za ulubiony instrument i ćwiczy się z zapałem pod kierunkiem nieprzeciętnego nauczyciela. Gdy nagle w ośmnastym roku rzuca muzykę, rzuca wszelkie inne drugorzędne upodobania, aby zwrócić się całą swą gorącą żywą istotą — ku kapłaństwu. W duszy młodzieńca rozbrzmieć musiało wtedy widocznie ze zwykłą swą nieprzepartą siłą wezwanie Boskiego Mistrza z Nazaretu: „Pójdź za Mną!“ Mikołaj Olivieri udaje się do Genewy, wstępuje do seminarjum. Czyste obyczaje, gorliwość i uległość młodego kleryka wychodzą zwycięsko z każdej próby, pogłębiającej coraz bardziej powołanie na sługę Ołtarza. Ukończywszy chwalebnie kurs teologji, zostaje wyświęcony na księdza i w trzecią niedzielę po Trzech Królach 1816 roku odprawia pierwszą Mszę św. w kościele św. Karola i św. Wiktora w Genewie. Odprawia ją przed obrazem Najświętszej Dziewicy, którą lud tamtejszy zwykł zwać Dziewicą „szczęścia“. Ks. Olivieri wybrał sobie umyślnie obraz ten, by Matce Niepokalanej, a przez Jej ręce Boskiemu Jej Synowi, podziękować w tej swej pierwszej Ofierze za niewysłowione szczęście bycia kapłanem Najwyższego. „Żaden z wojska anielskiego nie dostąpi nigdy tego!...“

Czuły ojciec ubogich i sierot.

Pobożność młodego ks. Olivieri, pilne i sumienne wykonywanie obowiązków duszpasterskich nie mogły ukrywać się długo pod korcem. To też wprędce zostaje wyznaczony na wikarjusza do parafji jednej z najznaczniejszych lecz i najbardziej męczących w mieście. Pełen zapału staje do pracy, nie szczędząc trudów,

oddając swe świeże młode siły bez zastrzeżeń Bogu na chwałę a duszom na pożytek. Z niestrudzoną pracą umie połączyć nieustanną modlitwę, ma czas na dalsze kształcenie się. Jest niezmiernie wstrzemięźliwy w jedzeniu, oszczędny w śnie, umartwiony w całym sposobie życia. Od tej surowości dla siebie samego, jakżeż odbija przedziwna łagodność w obcowaniu z bliźnimi, szczera serdeczna miłość wszystkiego co biedne, słabe, cierpiące. Szczególną opieką otacza ks. Olivieri chorych w parafji, prostaczków, nieuczonych, ubogich, smutnych i dzieci, wśród tych ostatnich zaś przedewszystkiem sieroty. Czynić dobrze jest jego świętą namiętnością; leczyć dusze, nieść ulgę w cierpieniach ciała, oświecać, wspierać, pocieszać — oto w czem jedynie szuka chwały i radości. Idzie wiernie śladem Mistrza, który w czasie swej ziemskiej pielgrzymki pełen współczucia dla nędz tej ziemi wołał: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy spracowani i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kanduli.

Opowiedziała misjonarka Afryki wschodniej.

Słaba i wątła, liczyła zaledwie 6 lat, kiedy umarła jej kochana i dobra mateczka po dostąpieniu nieocenionej łaski Chrztu świętego. Ojciec niewiele się kłopotał o małą sierotkę. „Kanduli“, powiedział do niej pewnego dnia, „odjeżdżam dzisiaj bardzo daleko, pozostaniesz tu z bratem i siostrą. Biedna Kanduli! Jakżeż bar-

dzo była godna politowania; najpierw dlatego, że nie znała Boga, naszego Ojca niebieskiego, potem dlatego, iż nikt na świecie się o nią nie troszczył. Gdy głód jej dokuczał, starała się wyszukać trochę bananów i przypiekała je na ogniu. Od czasu do czasu udawała się też do sąsiadki, która jej dawała cośkolwiek do zjedzenia. Brat i siostra, starsi od niej, spędzali zwykle dzień poza domem, a gdy wracali wieczorem do chaty, łajali ją tylko, często bili nawet.

Pewnego dnia, gdy Kanduli udała się znów do sąsiadki, opowiedziała jej o swych cierpieniach; kazano jej pracować bez przerwy, dostarczać trawy dla bydła, czyścić stajnie, nosić wodę, drzewo i t. d., a w „nagrodę“, dodała, „biją mnie“. Kobieta wzruszyła się „Dziecko kochane“, rzekła, opuść ten dom. Znam dla ciebie stosowne schronienie, trzeba byś tam się udała... Widzisz tę szeroką drogę, skręć na prawo i idź ciągle naprzód. Zajdziesz w ten sposób do Misji, gdzie się znajduje dużo dzieci w twym wieku. Poproś Ojca, by cię przyjął“ Kanduli usłuchała rady poczciwej kobiety i wyruszyła w drogę, odziana brudnym łachmanem... Idąc ciągle w oznaczonym kierunku, spostrzegła najpierw dom Ojca, a dalej inne zabudowania, przed którem bawiły się dzieci. Szybko przyłączyła się do nich, opowiedziała swe dzieje i czuła się zaraz jak w domu.

W dwa dni później jednak zgłosił się po nią starszy brat. Skoro tylko go spostrzegła, schowała się tak dobrze, że nie mógł jej odnaleść; w ten sposób uniknęła pogoni, która byłaby mogła być dla niej brzemienna w skutki.

Po trzyletniem przygotowaniu przyjęła Kanduli w dziewiątym roku życia Chrzest św., na

którym otrzymała imię Otylji. Dziękowała Bogu, że ją dopuścił do grona swych dziatek i zaczęła się żarliwie sposobić do Sakramentu Pokuty i Komunji świętej. W tym roku właśnie, 29 sierpnia, przystąpiła poraz pierwszy, razem z innemi dziećmi, do Stołu Pańskiego. Jakże się czuła szczęśliwą! Nie chciała wcale w tym pięknym dniu opuścić kościoła i pozostała tam w adoracji u stóp boskiego Zbawiciela w swej białej sukience i w wianuszku kwiatków na głowie. „Otyljo, powiadam do niej, jeszcze nic nie jadłaś". „Nie, odpowiedziała, ale nie jestem dzisiaj wcale głodną"...

Odtąd staje się Otylja z każdym dniem coraz grzeczniejszą i pobożniejszą; chce postępowaniem swem sprawiać coraz większą radość Panu Jezusowi, tak jak zapewne wszyscy młodzi czytelnicy „Murzynka".

Złote ziarnka.

»O Jezu, Miłości moja! — Poznałam wreszcie moje powołanie. Powołaniem mojem jest kochać... Tak, teraz znalazłam i dla siebie miejsce na łonie Kościoła. Bracia moi pracują i działają za mnie, a ja, małe dziecię dobrotliwego Ojca, trzymam się bliziutko Jego tronu i kocham za tych, którzy walczą«.

(Św. Teresa od Dzieciątka Jezus).

W intencji naszych Prenumeratorów i Dobroczyńców odprawiają Biskupi i Misjonarze afryk. około 500 Mszy św. rocznie.

Łamigłówka kołowa.

Litery na okręgu ułożyć w ten sposób, aby utworzyły nazwę kraju w Afryce.

Z
E E
E W
R . Z
Ł Ż
T. G
O N

(Rozwiązanie w nast. numerze).

Rozwiązanie łamigłówki
z Nr. 12. 1928:

1. **Kraków.** 2. **Karpaty.** 3. **Wisła.**

Trafne rozwiązanie łamigłówki z Nr. 10.
nadesłali:

Wojtuś Klimaszewski, Zdzisław Chodowiec, Genio Grynkiewicz, Rysio Greczyński, J. Maliszewski, Jerzy Kulwieć, A. Stepkowski, Bolesław Porębski, Ireneusz Kromer, Marja Grotowska, Władysław Malaczyński, Adam Galer, Olek Wilhelm, Klemens Kapkiewicz.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji świętego Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki“,

6. stycznia, w uroczystość św. Trzech Króli, 2. lutego, w uroczystość Oczyszczenia Najśw. Marji Panny.

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarządem Leopolda Wójcika.

Czemu żbierasz znaczki pocztowe?



Śmiejesz się bracie, że znaczki zbieram?
o nie szydź, proszę, mój miły!

Bo nie uwierzysz, ile te znaczki
dobrego już uczyniły.

Jedni zbierają, drudzy sortują,
inni w kolekcje składają;

Tak skrzętne ręce przez swoje trudy
za nie pieniądze zbierają.

A za pieniądze misjonarze
nie jedną boleść ukoją,

Dziatki wykupią, do misji przyjmą,
głodnych nakarmią, napoją.

A więc i wszystkie te krótkie chwile
mego małego mozołu,

nie zginą pewnie, bo tak pracuję
z misjonarzami pospołu.

Zebrane znaczki pocztowe przyjmują wszystkie filje i biura Sodalicji, których adresy są podane na 2-giej stronie okładki.

Ucieszymy przyjaciela
i zarazem spełnimy dobry uczynek misyjny

wybierając dlań na pocztówkę z życzeniami imieninowemi nader pięknie wykonaną pocztówkę z portretem Papieża — Jubilata Piusa XI.

Dochód z tychże pocztówek wspiera Misje w Afryce. — Dostać je można w Sodalicji św. Piotra Klawera w cenie 10 gr. za jedną kartkę. Kto zakupi odrazu 12 kart płaci tylko 1 złoty, a kto 100 kart złotych 8.50.

DOSKONAŁY SPOSÓB

uczczenia swych Patronów obrało sobie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej w **Ujściu Solnem** w Małopolsce. Szlachetne druhny złożyły się na **„Podarek chrzestny“** dla dwóch murzyniątek, które nosić będą imiona możnych Orędowników Stowarzyszenia: św. Teresy od Dzieciątka Jezus i św. Stanisława Kostki. Warto pójść ich śladem!...